

Kolejne opowiadanie z tomu "Mury Carcassonne".
Nazwiska i imiona występujących osób zostały wymyślone.

Załatwianie administracyjnych formalności trwało ponad miesiąc. W okresie urlopowym pracowano na pół gwizdka i nie wszystko wyglądało tak prosto jak mi się wydawało. Żandarmeria żądała pozwolenia na pracę, biuro pracy - karty pobytovej. Pracodawca obydwu.

Zamknięte koło przerwał wreszcie pan E. spisując ze mną umowę. Zatrudnił mnie jako wysoce wykwalifikowanego elektryka. Lojalnie zaznaczył, że postępuje niezgodnie z prawem, lecz innych możliwości nie ma; pomimo wyższego zaszeregowania otrzymam normalne wynagrodzenie. O pracy w biurze nie było mowy, gdyż nie opłacało się mnie dokształcać na okres jednego roku. Co innego, gdybym zdecydował się na dłuższy pobyt.

Do wszystkich urzędów chodził ze mną Zbyszek. Znał perfektnie język francuski.

Po opuszczeniu Warszawy przed dziesięcioma laty, zamieszkał z żoną i trójką córek w St-Etienne. Wykładał w Wyższej Szkole Górniczej.

Przyjął mnie bardzo serdecznie. Żonę jego, Dusię, znałem jeszcze z czasów kłódkich. Traktowano mnie jak członka rodziny.

Budowa, na której rozpocząłem pracę, znajdowała się w St-Chamond. Od jakiegoś studenta Zbyszek kupił używany motorower. Codzienna, dziesięciokilometrowa jazda na tym rozklekotanym pojeździe nie należała do przyjemności.

Przedsiębiorstwo pana E. dysponowało, w St-Chamond, pokojem pracowniczym. Symboliczny czynsz wynosił 40 franków.

Stare budownictwo, drugie piętro, "wygody" sanitarne na korytarzu. Obszerne pomieszczenie, stół, łóżko, szafa, zlew - cóż trzeba więcej. Zbyszek przytaszczył stary telewizor, pomógł w uruchomieniu kuchenki gazowej, Dusia podarowała parę garnków.

Na budowie dostałem się do czteroosobowej brygady z sympatycznym majstrem. Kładliśmy instalacje elektryczne na całym, nowo wznoszonym osiedlu. Zaskoczyły mnie nieznanne materiały, nowoczesna technologia robót.

"Kabel pod tynkiem?" - szydzono ze mnie: "Tak robiło się przed wojną". Plastikowe, elastyczne rury, układane przed zabetonowaniem stropów, łączono z tymi, które w fabryce prefabrykatów zamontowano w elementach ściennych. Po wzniesieniu obiektu przeciągano w nich, zgodnie z planem, wiązkę odpowiednich kabli. Prosta praca. Problemy zaczynały się, gdy z jakichś powodów, przewód okazał się niedrożny, zabetonowany, lub jeżeli w ogóle zapomniano o nim. Jedyne rozwiązanie stanowił młotek i przebijak. Ta czynność dawała w kość. Z ironią myślałem jak to na Tysiącleciu przez wiele godzin kułem w betonowej ścianie otwór, aby osadzić w nim mały dybel. Na budowie sytuacja wyglądała inaczej, a ambicja nie pozwalała okazywać słabości.

Ambicja, to ładnie powiedziane; wysokość miesięcznej pensji (dwa tysiące franków), wyższej niż moje całoroczne, krajowe pobory, mobilizowała do najwyższego wysiłku. Zapominałem o bólu, pracowałem jak pneumatyczny młot.

Już świta. Nie śpię - czas wstać!

Zacisnąć pięści nie jestem w stanie - palce odmawiają posłuszeństwa
boleśnie wita zasmakany ranek dzień w zaplanowanym łańcuchu szczęścia
opuchnięte stawy muszą rozruszać, nadprzyrodzone siły wzywam
zimna woda ulgę sprawia - jeszcze jedną dniówkę wytrzymać
szyderczo drży filiżanka kawy do ust unoszona w dwóch dłoniach
zniewolony umysł pytań nie stawia - spocony realizm całość przysłania

Pamiętny dzień: wtorek 20 listopad 1973r.

Kupuję samochód - Ford Taunus M 12. Pomimo 50 tys. km przebiegu, wygląda jak nowy. Jestem przekonany, że robię wspaniały interes. Płacę 2500 franków (koszty dodatkowe: rejestracja - 40 fr., ubezpieczenie - 420 fr.). Peweksowskie ceny znam na pamięć - za fiata 125P trzeba dać 7650 franków - nie muszę się więc zastanawiać nad porównywaniem.

Sam nie mogę uwierzyć. Dwa miesiące pracy i już mam auto, które w niczym nie ustępuje "simce" rodziców. Silnik pracuje idealnie, lakier lśni nieskazitelną bielą, z klaksonu wydobywa się fanfara szczęścia.

Boże Narodzenie mija smutno. Samotność wywołuje nostalgię, pogoda nie przypomina świątecznego nastroju - jest ciepło i mży. Na ścianach wiszą zdjęcia dzieci i Irenki. Czytam wielokrotnie listy, piszę.

Po Nowym Roku postanawiam przenieść się do robotniczego hotelu w St-Etienne. Trochę drożej, ale bardziej ludzkie, powiedzieć nawet można, komfortowe warunki. Nowe, wielokondygnacyjne budownictwo; jednoosobowe pokoje, nowoczesne, wspólne kuchnie. Arabowie stanowią większość mieszkańców.

Pierwszego dnia poznaję starszego ode mnie o parę lat, Tadeusza. Tadek już dawno temu wyemigrował z kraju, pracuje ostatnio jako technik w firmie hutniczej. Zaprzyjaźniamy się, i w zasadzie wszystkie wieczory spędzamy razem.

W przeciągu paru pierwszych miesięcy pobytu we Francji zdążyłem poznać pobliską okolicę. Zbyszek zazdrościł mi tego - spędzał wszystkie weekendy na wiejskiej farmie. Wynajął w górach od chłopca potężny, stary dom gospodarczy. Adoptował go częściowo do potrzeb miejsko-cywilizacyjnych. Pomogłem mu wykonać, po wcześniejszym zaprojektowaniu, duży kominek, ozdobiony okazałą, drewnianą belą. Dom znajdował się w romantycznie dzikiej okolicy. Spędziłem tam, korzystając z ciągłego zaproszenia, wiele sobót i niedziel.

Z kraju przywiozłem cały sprzęt filmowo fotograficzny. Zaopatrzyłem się również w ORWO-wskie, kolorowe przeźrocza (częściowo sam je zdobyłem, częściowo dostałem z klubu). Wywołanie slajdów kosztowało niewiele; dostarczano je natomiast, firmowo oprowiane, w ślicznych, kodakowskich pudełeczkach.

Prowadziłem bardzo oszczędne życie. Do wyżywienia nie przywiązywałem dużej wagi. Rano kawa z proszkowanym mlekiem, kromka z dżemem. W czasie dwugodzinnej przerwy obiadowej, bagietka z puszką sardynek. W pierwszym okresie popijałem winem (butelka wina kosztowała tyle samo, co flaszka mleka), potem przeszedłem na soczki. Kolacja, to herbata, kanapka z serem, albo jajecznicza.

W szarym okresie zimowym, kiedy samochodowe wycieczki traciły urok, nieznanym do tej pory przeżyciem stało się parokrotne pójście do kina na filmy pornograficzne. Tylko raz obejrzałem western, nie wiedząc wtedy, że będzie to ostatni obraz dzikiego zachodu, który mnie poruszył. Ustna harmonijka, Charles Bronson i Henry Fonda. Monotonnie brzmiący dźwięk zapowiadający końcowy strzał – dzisiaj

nikt nie jest w stanie zrobić coś takiego.

Ataki chandry rozładowywałem wyskokami do miasta. Uspokajało mnie kupno czegokolwiek, nawet jakiegoś drobiazgu.

Największą jednak radość sprawiała rosnąca suma franków na koncie bankowym i plany związane z nadchodzącą wiosną.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wyrrostek, dodano 10.04.2009 09:00

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.